

W rzeczywistości środkowy pomocnik reprezentacji Haiti nie jest nawet jej kapitanem. Wyżej notowani są stoper Nazaire, pozujący na Beckenbauera, inny pomocnik Ducoste i napastnik Sanon, autentyczny idol Port – au – Prince. Wszyscy są dość sprawni fizycznie, szczupli, niezłe panują nad piłką, ale ich technika jest typową „sztuką dla sztuki”. Nie służy zespołowi, jest mało użytkowa, jednostronna i wyraźnie przestarzała. Przyjmują i uderzają piłkę głównie wewnętrzną częścią stopy. Kunktatorzy, obce jest im pojęcie gry „na jeden kontakt”. Podobnie gra Vorbe, jest prawonożny, a Sanon – lepiej kopie piłkę lewą nogą. Vorbe jest nieporadny wobec „pressingu”. Kiedy „siadł” na nim najpierw Jurek Kasalik, a potem Andrzej Drozdowski, nie miał nic do powiedzenia. Taka to jest ta „wielkość Vorbe”. Ale lichy nie śpi! Nikogo nie wolno lekceważyć...

Jednak podczas wyprawy na Haiti bardziej niż Nazaire, Vorbe, Desir, August i Ducoste interesowali mnie nasi potencjalni kandydaci na mistrzostwa świata. Krótko określiłem stan faktyczny – „**rywalizacja trwa!**”. Nasi młodzi reprezentanci grali w Port – au – Prince szybciej, niż ich starsi koledzy w Stuttgarcie i Liege, ambitnie, nieustępliwie i skutecznie. Trener Kazimierz Górski nadal poszukuje kandydatów do drużyny narodowej. Czy na Haiti w ekipie Andrzeja Strejlaua dostrzegłem zawodników, których z czystym sumieniem mógłbym zarekomendować selekcjonerowi?

Tak. I to co najmniej 7-9! Przynajmniej mam tu na myśli – pisałem – dobrze ze sobą współpracującą parę stoperów Henryk Wiczorek – Władysław Żmuda (połączenie taktyki, inteligencji i siły), także duet dobrze już znanych pomocników Andrzej Drozdowski – Kazimierz Kmiecik oraz dwóch napastników Andrzej Szarmach (znowu zaczął grać na miarę swego talentu) i Zdzisław Kapka. Poza nimi nie bez szans do drużyny na mistrzostwa świata są również bramkarz Andrzej Fischer i napastnik Marek Kusto. Trener Strejlau twierdził, że do zadań specjalnych przydałby się też Jerzy Wyrobek.

Co na to Kazimierz Górski. W połowie maja 1974 roku wraz z niektórymi członkami sztabu gościł w redakcji tygodnika „Piłka Nożna”. Wkrótce po tym spotkaniu PZPN ogłosił kadrę na WM’74. Znalazło się w niej aż siedmiu uczestników niecodziennej wyprawy na Haiti: Fischer, Wieczorek, Żmuda, Kmiecik, Kapka, Kusto i Szarmach. Nie pojechali do RFN na wycieczkę, prawie wszyscy grali, a Władysław Żmuda i Andrzej Szarmach byli jednymi z głównych bohaterów X Mistrzostw Świata. W sumie 22 zawodników wywodziło się z 10 klubów. Prym w tym towarzystwie wiodła Wisła Kraków (5), tuż za nią był Górnik Zabrze (4), a dalej Legia Warszawa i Stal Mielec – po 3 oraz Ruch Chorzów, Odra Opole, Śląsk Wrocław, Gwardia Warszawa i Lech Poznań – po 1.

Po ostatnim meczu kontrolnym z Grecją powiało optymizmem. Cieszyła wygrana 2:0, ale przede wszystkim szybkie „dojrzewanie” zespołu. Podkreśliłem to już w ostatnim komentarzu przed wyjazdem do Murrhardt i zakwaterowaniu w hotelu „Sonne Post”. Tytuł dość jednoznaczny „**Coraz jaśniej!**”... a tekst też obiecujący:

...Drużyna, jako całość, choć w eksperymentalnym zestawieniu, prezentowała się znacznie lepiej niż na początku drugiego etapu przygotowań. Już tak nie raziły braki w szybkości i zgraniu, więcej spokoju i rozwagi było w obronie i więcej skuteczności w napadzie. Tylko druga linia prezentowała się nierówno... Pytanie jednak czy Tomaszewski odzyska zdrowie i formę z Wembley i kto będzie partnerem Gorgonia w środku obrony – Bulzacki czy dwudziestolatek Żmuda? Z tej trójki najsolidniejsze wrażenie sprawia gwardzista. Silny fizycznie, rozważny, góruje nad Bulzackim wyszkoleniem technicznym. W pomocy efektywnie i efektywnie grał doświadczony Kasperczak, pod nieobecność Deyny i Ćmikiwicza najlepszy. Co z napastnikami? Lubański nie wystąpi w Monachium, Szarmach jest kontuzjowany. Obecnie mamy tylko najlepszego w całej kadrze Ga-

dochę i coraz dojrzałszego piłkarsko – Latę. Już nie biega bezproduktywnie, celniej strzela z obu nóg...

A co robiono w Zakopanem? Wybrałem się tam na początku czerwca, prosto z Chorzowa, gdzie nasza kadra rozegrała kolejny mecz kontrolny z reprezentacją ligi węgierskiej. Skromna wygrana 1:0 znowu zmąciła pogodny nastrój. Było chudo, zawodnicy jacyś dziwnie ospali, przygaszeni. Kapryśna aura pod Regłami, raz nadmiar słońca, raz strugi deszczu, nie poprawiała samopoczucia. Trener Górski zarządził spacer po górach, sporo graczy dotarło do schroniska przy Morskim Oku. Tam rozmawiali z kibicami, fotografowali się i składali autografy. Selekcjoner wyraźnie się ożywił:

...Ten spacer w słońcu po górach – powiedział – też będzie procentował. Już jutro chłopcy będą rześcy, jak ryby. A tego właśnie, świeżości – teraz najbardziej im potrzeba. Taką formę relaksu zastosowaliśmy również przed Olimpiadą w Monachium. Na mecz z Argentyną trzeba wyjść w najlepszej formie. Najpierw jednak, jeszcze dziś wieczorem pogwarzymy przy ognisku z góralami. Będzie humor, piosenki, opowieści, poszumiamy smreki... Upieczemy też na ogniu trochę kiełbasek...

Po upływie tygodnia zapytałem trenera jak minął ten czas...

Byłeś i widziałeś!... To, co zaplanowaliśmy, wykonaliśmy. Był trening czysto piłkarski, ale też trochę koszykówki, sprawdziany szybkości i wytrzymałości, no i dziesiątki niezbędnych nowości taktycznych. Szybka, krótka zagrywka w głębi boiska i nagły przerzut! Na to w innej strefie czyhali Robert i Grzegorz... Wyższa szkoła jazdy!....

– To cię najbardziej podbudowało?

– Cieszyło oczy, ale duchowo krzepił przede wszystkim szybki powrót rekonwalescentów do pełnego zdrowia.

– Jednak nikt tu się specjalnie nie przemęczał...

– I co z tego?!... Tak właśnie miało być!... W Chorzowie był niewypał, brak entuzjazmu, trzeba więc było nieco skorygować plan pracy... Lżej trenowaliśmy...

Mniej lub bardziej oficjalnie rozmawiałem z Górskim codziennie. Reprezentacja już gotowa do wyjazdu. Murrhardt i Sonne Post czekają... Za kilka dni mecz z Argentyną. Trudny początek.

– Czy też tak to widzisz? – zagadnąłem selekcyjera. – Odpowiadaj szczerze, bez owijania czegokolwiek w bawełnę! Dziennikarze skarżą się, że coś ukrywasz...

– Nigdy niczego nie ukrywam i nie owijam w bawełnę. Plan wykonany, forma poszła w górę. Taki raport złożyłem twoim kolegom. Nawet po niezbyt udanych meczach z ligą węgierską i Malagą nie działaliśmy w ciemno. Wiemy jak zagrać z Argentyną. Tu potrzebny jest pressing!... Ale rodzi się też pytanie – jak długo wytrzymają to nasi zawodnicy... Kilka minut czy cały mecz?

– Więc nie masz pewności?

– Nie mam. Bo o tym decyduje nie tylko forma fizyczna, ale i psychiczna. Szukam koncepcji wykonalnej. Będę jeszcze o tym dyskutował z Gmochem i Strejlauem. Najwyżej cenię myśl w grze. W meczu z Argentyną będzie najważniejsza...

– To cenny atut Deyny, Gadochy, Szymanowskiego, Ćmikiewicza...

– Tak, oni najlepiej „rozumieją grę”...

– Ale to może nie wystarczyć...

– Wiem, dobrze o tym wiem! Jestem trenerem praktykiem, znam dobrze każdego zawodnika...

– Co to daje?

– Pewność, że w decydującym momencie nikt nie zawiedzie... Taka chwila się zbliża. Przed meczem z Argentyną jestem optymistą... Zniwelujemy atuty Ayali, Kempesa i ich kolegów...

– W jaki sposób?

– Pozwól, że do 15 czerwca nawet tobie tego nie powiem. Zachowam to w tajemnicy... Powiem tylko, że chcemy ten mecz wygrać!... Wynik z Wembley nas nie zadowoli...

– Mogą być zmiany w składzie w porównaniu z tamtym meczem?

– Mogą? Będą!... Pewnego miejsca nie ma nawet Tomaszewski...

Nie tylko trener Górski był optymistą. Na udany występ Polaków w RFN liczył też prezes Polskiej Federacji Sportu, Stanisław Nowosielski: – Uważamy, że stać nas na kolejny wysiłek i ukończenie rozgrywek eliminacyjnych na takim miejscu, które da nam awans do ósemki najlepszych. Tu już każde miejsce było by dobre, ale wiadomo, że chcemy wspiąć się jak najwyżej. Jak wysoko? Horoskop tygodnika „Piłka Nożna” był jeszcze ambitniejszy:

...„Przebrnięcie przez rozgrywki w grupie i zakwalifikowanie się do strefy półfinałowej było by dużym sukcesem naszej reprezentacji. Znacznie większym niż wynikało by to z liczby czynnych zawodników, bazy technicznej, opieki lekarskiej, ilości i jakości urządzeń boiskowych, braku futbolu w szkole i tego wszystkiego, co się składa na ogólną kulturę piłkarską... Mimo tych zastrzeżeń, wierzymy w kolejny awans naszego zespołu w hierarchii światowego futbolu...

Doskonale znaliśmy układ sił w europejskim i światowym piłkarstwie. W Europie obok Holandii, Jugosławii, RFN i Włoch znaczącą pozycję zajmowała właśnie Polska. To wielka piątka ze starego kontynentu! Z reprezentacji zamorskich zagrozić im mogły tylko: Argentyna, Brazylia, Chile i Urugwaj. Faworytem numer jeden była jednak drużyna RFN. Dochodziło do tego, że gdy ktoś kogoś nawet w nocy zapytał, kto będzie mistrzem świata, ten jeszcze nie przetarłszy dobrze oczu, prawie bez namysłu odpowiadał: – „Oczywiście jedenastka Helmuta Schoena!”.

Nas straszono przede wszystkim Argentyną i Włochami oraz znowu Sanonem i Vorbe z Haiti. Trochę mnie to wkurzało, bo zupełnie inaczej oceniłem możliwości piłkarzy z egzotycznego Port-au-Prince. Przekonywałem, że dobre opinie o tej reprezentacji są przesadzone, przypominają słynne opowieści o „latających talerzach”, bądź potworze z Loch Ness. Zespół Antoinea Tassyego, a widziałem to na własne oczy, nie gra ani rewelacyjnie, ani nie jest tajemniczy. Wszystko o nim wiemy. Haitańczycy nie są zonglerami, ani tym bardziej siłaczami... Boisko to potwierdziło – „biało-czerwoni” wygrali z nimi aż 7:0!

Był to dla naszych reprezentantów – w porównaniu z ciężkim bojem z Argentyną, wygranym tylko 3:2 – typowy spacer. Kolejne mecze były znacznie trudniejsze, ale Polacy cały czas ambitnie parli do przodu. Pozostawili w pokonanym polu także Włochy, Jugosławię i Szwecję, a więc śmietankę turnieju. Mecze te od strony czysto sportowej komentowałem w studiu telewizyjnym przy Placu Powstańców Warszawy, najczęściej w towarzystwie Bohdana Tomaszewskiego, Krzysztofa Baszkiewicza i Stanisława Eksztajna. Red. Bogdan Tuszyński korzystał z moich komentarzy również w Polskim Radiu, pisywałem do wielu gazet. Byłem zapraszany na spotkania z kibicami. Miałem więc swoje „pięć minut”, ale też wątpliwą przyjemność wyrażenia własnego zdania w TVP o meczu z RFN, którego stawką był finał Weltmeisterschaft '74. Przeszedł on do historii futbolu, jako „bój w wodzie”.

Środa 3 lipca 1974, Frankfurt nad Menem, Waldstadion. Tuż przed rozpoczęciem meczu nastąpiło oberwanie chmury. Siła i czas ulewy zaskoczył sprawnych zazwyczaj organizatorów. Deszcz nie ominął nikogo i niczego, ale najbardziej zniszczył nawierzchnię boiska. Była grząska, śliska, błotnista, kałuże pod obiema bramkami. Poszły w ruch pompy strażackie, sikawki ręczne, kubły i walce. Widok z zamierzchłej epoki – robotnicy boso, fotoreporterzy z parasolami.

I w takich oto warunkach rozegrano ten mecz. Szczęśliwe zwycięstwo 1:0 odnieśli gospodarze, głównie dzięki wspaniałym interwencjom bramkarza Sepa Maiera.

To strefa medalowa. Teraz walczą tylko cztery zespoły: Niemcy z Holendrami o złoty medal, a Polska z Brazylią o trzecie miejsce na świecie. Pożegnałem kolegów z TVP i odleciałem na te występy do Monachium. Miejsce w podręcznym hotelu (na lepszy nie pozwalały skąpe diety RSW „Prasa”), zarezerwowali mi attache naszej ekipy mgr inż. Henryk Loska i przedstawiciel radcy handlowego w Kolonii Jan Boczej. Henio jeszcze przeżywał niesamowity zwycięski mecz z Argentyną, popisy „Tomka” w pojedynku ze Szwecją, a Boczej przegrany z Niemcami „bój w wodzie”. Pytali, co słyszeć w Warszawie.

...Na Stadionie Dziesięciolecia nasi synowie też grali w piłkę ze Szwedami – opowiadałem. – Przyjechało ich do stolicy ponad stu, wszyscy na własny koszt. Grę w piłkę traktowali jak każdą inną chłopięcą zabawę, Na nadwiślańskich błoniach przegrywali więc z naszymi „dzikimi” drużynami niemal wszystkie mecze. Przebąkiwano więc, że nawet tu jesteśmy piłkarską potęgą. W Stuttgarcie ekipa Górskiego wygarbowała skórę Tapperowi i jego kolegom, a w Warszawie wysoko wygrywały ze Szwedami nasze dzieci. Chłopcy ze Sztokholmu specjalnie się tym nie przejmowali, narzekali tylko na brak wygod w naszej stolicy. Nie podobały się im warszawskie błonia... Za twarda, nierówna nawierzchnia, klepiska nie boiska... No i że w bramkach nie ma siatek...

Nasi chłopcy z niedowierzaniem pytali:

A może place do gry rzeczywiście są u nich lepsze? Podobno zielone murawy, miękkie jak dywan, bramki z siatkami i gra w sprzęcie „Adidas” – buty z kołkami i ładne kostiumy – to u nich normalność... Dlatego grymaszą... Malkontenci... My w rozlatujących się trampkach, postrzępionych koszulkach i majtkach w różnych kolorach i tak byliśmy od nich lepsi.

Szwedzi narzekali też, że na naszych błoniach nie ma szatni, schronienia przed deszczem i... gorącej herbaty. Co ja mogłem tym chłopcom odpowiedzieć? Poza wstydem i skruchą nic nie przychodziło mi do głowy. Taka jest rzeczywistość! U nich w Szwecji boisk, sprzętu, domków klubowych ile trzeba, u nas nędzka, prymityw na piłkarskich błoniach. Dwa zupełnie inne światy. Czy z tej upokarzającej lekcji wyciągnął ktoś kiedykolwiek jakiekolwiek wnioski?... Wszystkich zadowalało zwycięstwo nad Szwecją w Stuttgarcie. Co tam dzieci i młodzież? Gramy teraz o srebrny medal!

Nasza drużyna przeniosła się z „Sonne Post” w Murrhardt do International Hotel w Monachium.

– Jest tu ładnie, cicho – zauważył prezes Stanisław Nowosielski – ale to wszystko nie to, co w Murrhardt. Tam czuliśmy się jak u mamy... I było dużo tańiej.

– Co za nowiny przywozi pan z kraju? – pytają mnie Tomaszewski, Gorgoń, Deyna, Szymanowski, Kasperczyk, Wieczorek. – Czy prawdą jest, że w godzinach naszych spotkań z Argentyną, Włochami i Niemcami zamierał ruch na ulicach?

– Nie tylko w mieście – odpowiedziałem – także w klubach, kawiarniach, restauracjach... Wszędzie tam, gdzie nie było telewizorów...

– Czy rzeczywiście godnie przyjęto naszą przegraną z Niemcami?

– Jak najbardziej! Ale kibice wciąż liczą na medal... Będą jakieś problemy? Brazylia to jednak futbolowa potęga...

– Żadnych problemów – w odpowiedzi wyręczył piłkarzy Nowosielski. – Spójrz na nich, są w doskonałym nastroju. Wygrają... Przywieziemy do Polski srebrny medal!...

– Jesteśmy już na stadionie olimpijskim. Żony zawodników i trenerów przystrojone w biało-czerwone chusty i czapeczki intonują: – „*Po zielonej trawie piłka goni, albo my wygramy albo oni...*” Śpiewy skracają oczekiwanie i ła-

godzą zdenerwowanie. O godzinie 15.15 na stadion przybył z małżonką Edson Arantes do Nascimento – Pele. Zmyłka to, gest przyjaźni czy zwykły przypadek? Oboje wystrojeni na biało-czerwono. Toż to nasze barwy narodowe!... Pele pozdrawia widownię, za chwilę z trenerskiego boksu powtarza to trener Mario Jorge Zagalo. Spryciarze, zabiegają o sympatię widowni. Stadion będzie za nimi?

Prezes Nowosielski zapewniał, że w naszej ekipie jest bojowy nastrój, Górskiego i Gmocha ucieszył powrót do drużyny Andrzeja Szarmacha. W sztabie szkoleniowym pojawił się jednak cień niepewności. Jak zagrają stoperzy Gorgoń i Żmuda? Doktor Janusz Garlicki obawia się o stan ich zdrowia. Zwierzył mi się z kłopotów:

Władek Żmuda narzekał na bóle w stawie skokowym, poza tym przyczepiła się do niego różyczka. Swędzi go, drapie się... Dałem mu lekarstwo, maść kortizonową, a on puchnie. Co się dzieje? Jest uczulony na leki zawierające jodynę. Sam Żmuda tej opuchlizny nie widział, był w miarę spokojny, ale Jurek Gorgoń przestraszył się i... wykrztusił zrozpaczony:

– Ja w tym meczu bez Władka nie wystąpię... Zresztą ja też jestem chory, boli mnie kręgosłup.

Pociemniało nam w oczach, mnie bezradnie opadły ręce. Zapanowała grobowa cisza. Nawet Jacek Gmoch stracił rezon. Nagle z chwilowego odrętwienia wyrwał nas stanowczy głos trenera Górskiego:

– Obaj zagrają!

Pokonaliśmy Brazylię 1:0, a jednym z najlepszych zawodników na boisku był Jurek Gorgoń. Zaraz po meczu jakimś cudem udało mi się przedrzeć na płytę boiska. Gratulacje w tej sytuacji, to rzecz normalna, ale widzę jak Jacek pędzi w kierunku Gorgonia i krzyczy:

– Chory! Chory!... Boli go kręgosłup... A był najlepszy na boisku!...

Mecz był trudniejszy niż przypuszczaliśmy. Przed przerwą nie zdobyto żadnej bramki, grano zachowawczo. Na początku drugiej połowy to samo. Nikt nie chciał podjąć ryzyka, niewiele było dynamicznych akcji. Dopiero finisz był nasz. Górski wprowadził do gry Ćmikiewicza i Kapkę. Dobre zmiany. Leszek imponuje spokojem, Zdzisio ściąga do środka stopera, Grzegorzowi stwarza tym manewrem więcej swobody na prawej stronie. Wszystko jest przemyślane. Lato szybszy od wiatru, chytry jak lis, zdobywa zwycięską bramkę. Jest też królem strzelców, tuż za nim Szarmach. Złota Nike zawstydzona. Na zawsze wybrała Brazylię, a ta jest teraz w cieniu Polaków. Na cześć zwycięzców wiwatują kibice, biegną za autokarem, przegranym nikt nie asystuje. Tak przemija sława...

Sukcesy piłkarzy na boiskach RFN wyraźnie poszerzyły szeregi „arcybractwa”, to znaczy dziennikarzy piszących o sporcie. Futbol trafił nawet na łamy pism o profilu społecznym, politycznym, kulturalnym. Doskonały znawca literatury pięknej, wybitny w tej specjalności historyk profesor doktor Jan Zygmunt Jakubowski też dostrzegł w piłkarstwie sporo cech narodowych i patriotycznych, a także moc elementów estetycznych, twórczych, widowiskowych. Z całą powagą swojego niepodważalnego autorytetu uznał, że polski futbol jest swoistą syntezą pierwiastków romantyzmu i pozytywizmu. Łączy w sobie polot i fantazję z organiczną pracą u podstaw. Piękne porównanie. Piłka nożna porwała społeczeństwo. Zaczęto lansować opinię: aby nie być posądzonym o „zaburzenia psychiczne”, trzeba się futbolem interesować.

Ludzie z przejawami odchylenia od normy jednak nie liczą się z otoczeniem. Taka ich natura, nawyki, przyzwyczajenia. Szukają dziury w całym. Taką właśnie postawę w szczecińskim periodyku „Jantar” zaprezentował w tamtych czasach ukrywający się pod pseudonimem „Grot” autentyczny malkontent. Z furią zaatakował naszych medalistów. Jeszcze nie nastał sezon ogórkowy, ale on już wywoływał skandale i pisał paszkwile. Tępy grot...

...Na temat polskich piłkarzy – przypomina – wypowiedziałem się kategorycznie w styczniu, ale nie chcieli mi wydrukować, ponieważ mogłaby od tego rozboleć Domarskiego noga, a Gadochę wątroba... Teraz już pisać można... Więc pisał: ...Aktualna nasza reprezentacja narodowa w piłce nożnej, to jest znakomity przykład na nasze krajowe marnotrawstwo, na naszą rozrzutność, na setkę naszych wad narodowych... Jest drużyna, której nie należało by wysyłać na żadne mistrzostwa, nawet krajów rozwijających się, a cóż dopiero mistrzostwa świata zawodowców...

A' propos wad... Każdy człowiek, w mniejszym lub większym stopniu, dąży do zaspokojenia swoich egoistycznych potrzeb. Taką potrzebą „Grota” było zaistnienie w światku piłkarskim. Wybrał drogę obrzydliwą, błotem obrzucił „biało-czerwonych” i nawoływał ich do nauki, do książki, do roboty, bo na „leniwych piłkarzy czekają wolne stanowiska pracy”. Dziś taki tekst również z wielu innych powodów uznany byłby za egzotyczny. Bo teraz „wolnych stanowisk pracy” już nie ma. Króluje bezrobocie...

Wybryk „Grota” puszczono mimo uszu, natomiast zewsząd posypały się pochwały pod adresem polskich piłkarzy. Red. Mieczysław Szymkowiak wprawdzie zaatakował obrońców, a ja wytknąłem kilka błędów nawet Tomaszewskiemu, ale generalna ocena była bardzo dobra. Nasi piłkarze przywrócili futbolowi jego podstawowe idee – potrzebę i umiejętność strzelania bramek. Prezentowali ofensywny styl gry, odpowiadający polskiemu charakterom i wyobraźni. Improwizowali na boisku, ale w oparciu o duże umiejętności techniczno-taktyczne. Polot i fantazja były w równej mierze tworem ducha jak i zamierzoną funkcją intelektu. Na boiskach RFN nasi piłkarze nowatorskim sposobem gry wyrażali swój stosunek do ulubionej dyscypliny sportu i spoczywającym na nich zadaniu.

Powie ktoś, że tak się akurat złożyło, że w naszym zespole jednocześnie pojawiło się trzech doskonałych napastników, genialny pomocnik, rewelacyjny stoper i nietuzinkowy bramkarz. Tak właśnie głównie na Zachodzie najgłośniej

akcentowano rolę tego trzonu w naszej drużynie. Ejże, miałyby to być przypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności? Nie! To było w pełni zamierzone działanie. Takie motto i właśnie takie racjonalne zasady cały czas przeświadczały Górskiemu przy tworzeniu tej drużyny. On zawsze, choć często był z tego powodu krytykowany, bronił prymatu ataku nad obroną. Stąd ofensywny styl naszej reprezentacji, stąd podporządkowanie tej widowiskowej wersji futbolu przebogatej wiedzy techniczno-taktycznej wszystkich zawodników.

O tytuł mistrza świata na stadionie olimpijskim w Monachium walczyły zespoły RFN i Holandii. Byłem tam z naszą drużyną tak samo ubrany. Garnitur jasnobrązowy, jednorzędowy, barwna koszula i wzorzysty krawat. Przeto i mnie – nawet ze strony służb porządkowych – trafiały się słowa podziękowania i uznania za wygraną z Brazylią. Teraz grali finaliści. W duchu życzyłem sukcesu Holendrom, bo zawsze im kibicowałem, ale z ulgą przyjąłbym też zwycięstwo Niemców. Bo to oni wyeliminowali Polaków. Zawsze łatwiej strawić przegraną z mistrzem. Ale „pomarańczowi” szybko objęli prowadzenie z rzutu karnego. Pewnie strzelił Johan Neeskens. Sędzia Taylor był jednak sprawiedliwy i wkrótce podyktował „jedenastkę” dla Niemców. Paul Breitner wyrównał na 1:1, a tuż przed przerwą wynik meczu na 2:1 ustalił Mueller. Jednak „boski Johan” Cruyff w cieniu sprytnego Gerda.

Ta para finalistów i Polska grały na tych mistrzostwach najładniej i najsukcesowniej, a także najnowocześniej. Pojawiło się wtedy, choć niezupełnie nowe, ale w tym czasie bardzo modne określenie „futbol totalny”. Słusznie przy tym twierdzono, że najklasyczniejszym przedstawicielem tej nowej fali w światowym piłkarstwie jest Holandia. Tytuł mistrza świata zasłużenie przypadł jednak reprezentacji NRF. Czy zwycięzca też reprezentował futbol totalny? Tak. Mistrz grał w stylu Holendrów, ale pewne różnice w postawie finalistów dość wyraźnie rzucały się w oczy. Niemcy w stopniu niemal doskonałym rozkładali akcenty w grze na atak i obronę, a więc wzorowo utrzymywali równowagę między akcjami ofen-

sywnymi i defensywnymi. Grali konsekwentnie „wszystkimi siłami”. W każdej formacji, zwłaszcza w obronie, imponowali wzajemną asekuracją, umiejętnością uzyskiwania przewagi liczebnej. Holendrzy nie przykładali do tego tak dużej wagi lub w ogóle rezygnowali z asekuracji. Byli pewni siebie w sytuacjach „jeden na jednego”. Gustowali w zastawianiu pułapek ofsajdowych.

Piłkarze niemieccy mieli w swoim zespole genialnego Franza Beckenbauera. To właśnie on niemal w stopniu idealnym doprowadzał do utrzymania w grze niezbędnych proporcji w destrukcji, konstrukcji i egzekucji. Ani Holandia, ani tym bardziej Polska wówczas tak wszechstronnie grającej reprezentacji nie miały. Grały pięknie, ale nie tak wyrachowanie. U Cruyffa i Deyny przeważały elementy konstrukcji i egzekucji, u Beckenbauera rzucała się w oczy także przemyślana destrukcja. Można oczywiście dyskutować czy kolejność RFN, Holandia, Polska w pełni odpowiada faktycznym możliwościom tych drużyn i właściwie równoważy ich wkład w istotę „futbolu totalnego”, ale nikt nie miał i do dziś nie ma wątpliwości, że w roku 1974 na świecie były to rzeczywiście trzy najlepsze reprezentacje. Nikt też nie kwestionował indywidualnych zasług liderów tych zespołów: Beckenbauera, Cruyffa i Deyny. Ich głowy też zdobyły korony: złota, srebrna i brązowa. Ameryka Południowa w cieniu Europy.

Najlepsi z reguły wnoszą coś nowego do światowego piłkarstwa. W latach 1958 i 1962 Pele, Garrincha i Didi zaprezentowali „brasilianę”, w roku 1966 nowością była gra z „wymiataczem” w obronie i bez klasycznych skrzydłowych, a w 1974 wizytówką RFN, Holandii i Polski był „futbol totalny”. Głównie te kraje udowodniały, że piłka nożna jest organizmem żywym i ciągle się rozwija. Do wymiarów bliskich doskonałości doprowadzono wymiennosc funkcji. Dawnego „wymiatacza” zastąpił wykonujący znacznie więcej zadań „libero”, a skrzydłowi i obrońcy, także skrajni pomocnicy potrafili grać swoje role zarówno w ofensywie jak i defensywie. Mocno podkreślano to w raporcie FIFA.

...Futbol staje się coraz mniej obronny, stale zwiększa się liczba zwolenników gry otwartej, śmiałej. Maleje fascynacja systemami 1+4+2+4 i 1+4+3+3. Nowoczesna drużyna musi mieć „kręgosłup”, który tworzą: niezawodny bramkarz, aktywny libero w linii obrony, dwaj inteligentni gracze środka boiska i dwaj polujący na bramki napastnicy. Pozostali zawodnicy uzupełniają ten „fundament” i w zależności od indywidualnych umiejętności wzbogacają plan taktyczny.

Jak te uwagi ekspertów FIFA odnieść do naszej reprezentacji? Czyli – jakie konkretnie polskie nazwiska wstawić na poszczególne pozycje tego „kręgosłupa”?... Widzę to tak: oś naszej niepowtarzalnej drużyny tworzyli: Tomaszewski, Gorgoń, Deyna, Kasperczak, Lato i Szarmach. Pozostali niewiele im ustępowali, więcej – Gadocha łączył funkcję „łowcy” bramek z inteligencją graczy drugiej linii. Jaki więc generalny wniosek wypływa z raportu FIFA? Drużyna, która chce się liczyć na rynku międzynarodowym i zdobywać medale na mistrzostwach, musi mieć w swoich szeregach kilku piłkarzy klasy światowej. W tygodniku „Piłka Nożna” uznaliśmy, że w roku 1974 taką klasę reprezentowali: Kazimierz Deyna, Robert Gadocha i Grzegorz Lato, natomiast Jerzy Gorgoń, Władysław Żmuda, Zygmunt Maszczyk i Andrzej Szarmach klasę międzynarodową. Co to znaczy? Ta drużyna jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa!

GEST TRENERA W SUTANNIE

Dzięki uprzejmości księdza Ryszarda Gamańskiego z Australii, z którym zaprzyjaźniłem się w Monachium (w kraju sam był kiedyś niezłym piłkarzem i obiecującym trenerem), zdobyłem kilka książek traktujących o Weltmeisterschaft 1974. Fragmenty opinii autorów niemieckich opublikowaliśmy w „Piłce Nożnej”. Oto niektóre z nich:

...Górski należy teraz do najwybitniejszych trenerów w historii futbolu. Zdystansował Włocha Valcareggiiego i Jugosłowianina Miljanica. Swą wielkością Polak stoi w pobliżu Niemca Seppa Herbergera. Dlatego, że Górski najkonsekwentniej rozwinął „futbol partyzancki Herbergera”. **(Harry Valerian: Trenerzy finałowej czwórki)**



...Polacy pokazali to wszystko, co w tych mistrzostwach było najlepsze. Tacy zawodnicy, jak rozgrywający Deyna, reprezentowali chwytający za serce, świeży futbol ofensywny. Robert Gadocha najlepszy lewoskrzydłowy mistrzostw 1974 pod każdym względem może być porównywany z legendarnym Garrinçą. Imponował kunsztem dryblera i siłą strzału. Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato i właśnie Robert Gadocha stali się ulubieńcami widowni... Szybkość Polaków rozbiła stare gwiazdy Włochów. **(Hennes Weisweiler: Piłkarskie Mistrzostwa Świata 1974)**



...Wszyscy z wielkiej czwórki mieli wybitnych rozgrywających, to Overath, Cruyff, Deyna, Rivelino, każdy wywierał swą klasą gry wpływ na cały zespół. Polak Deyna zapewniał zwartość zespołu, a także właściwą (świadomą) różnorodność podań – raz krótkich, raz długich. **(Gerd Krug: Mistrzostwa wielkiej walki)**



...Świat się dowiedział, że nowy Rivera, nowy Gerson, nowy Netzer przybył do Niemiec z kraju, który dotychczas uchodził za piłkarską prowincję. Na pytanie, co wywarło na nim największe wrażenie w tym turnieju, Kazimierz Deyna powiedział: – „Bramka strzelona Dino Zoffowi w meczu z Włochami”. Po zakończeniu mistrzostw zyskał Deyna miano najlepszego na świecie gracza środka pola. Polak jest piłkarzem, który nie tylko kieruje grą zespołu, ale również z niespotykaną siłą i precyzją sam potrafi strzelić na bramkę. Narzuca napastnikom takie, a nie inne tempo gry... **(Harry Valerian: Deyna – nowy Rivera)**



Lato wyprowadził Polskę na trzecie miejsce w turnieju. On był zawsze tam, gdzie nacierała drużyna, należał do najgroźniejszego tria ofensywnego X Mistrzostw Świata, które tworzyli: Andrzej Szarmach, Robert Gadocha i właśnie Grzegorz Lato. **(Dieter Kuerten: Piłkarskie Mistrzostwa Świata 1974)**



Polak Deyna nie był w swoich akcjach tak prostolinijny jak Neeskens, ale dzięki rozumnym podaniom i dużej pracowitości porządkował grę w swoim zespole. Z Deyną i swoimi szybkimi skrzydłowymi Latą i Gadochą Polacy wprowadzili do najlepszej jedenastki świata trzech zawodników. Dla całej gamy tricków technicznych Deyny i Gadochy, jak również dla bramkostrzelnego Lato, ich żaru pobudzającego do walki na boisku, nie widzimy teraz konkurencji. **(Hubert Burda: Wielkie zwycięstwo)**



Niemcy – Polska 1:0... Gerd Mueller, Sepp Maier i straż pożarna – to trzech bohaterowie tego spotkania. Po burzy i oberwaniu się chmury boisko tonęło w wodzie, ale straż tak zadziwiła, że po półgodzinnym opóźnieniu spotkanie rozegrano. Polacy swoimi nieschematycznymi i szybkimi natarciami sprawili, że wokół uchodzili w tym meczu za faworyta. Na szczęście mieliśmy w naszej drużynie Maiera i Muellera. Sepp fantastycznie bronił, a Gerd celnie strzelił. **(Erst Huberty i Willi B. Wange: Mistrzostwa Świata 1974)**



Z Brazylią Polacy grali trzy dni po „wodnym boju” z Niemcami we Frankfurcie. Włożyli w ten mecz wiele wysiłku, dlatego nie należało od nich oczekiwać czegoś więcej. Takie właśnie bywają mecze o trzecie miejsce. Porażka w spotkaniu o awans do finału mocno deprymuje. W następnej grze siłą rzeczy przychodzi dekoncentracja i inne wewnętrzne nastawienie. A jednak nawet w takim meczu Polacy potrafili upokorzyć trzykrotnego mistrza świata. **(Karl Boediger: Gol, gol, gol...)**

Status finansowy naszych piłkarzy w porównaniu z reprezentantami RFN i Holandii był bardzo skromny. Wedle stawu grobla... Polacy nie grali jednak za „czapkę śliwek”, ani też za dwudolarowe diety jak to z reguły bywało w innych zawodach międzynarodowych. Na nasze ówczesne możliwości zostali godnie nagrodzeni. Tymczasem nie wszyscy zawodnicy to potwierdzali. Przekazywali opinie daleko odbiegające od rzeczywistości. Opowiadali bajki, w czym wyróżniał się Jan Tomaszewski. Zaskoczony taką postawą prezes Polskiej Federacji Sportu, Stanisław Nowosielski opracował prawdziwe dane w tej drażliwej materii. Początkowo miały charakter poufny. Dopiero w lipcu 1998 roku informację tę przekazał Klubowi Seniorów i ówczesnemu dyrektorowi biura PZPN, Edmundowi Zientarze. Jedną z kopii dał również mnie:

... „Ostatnio, w różnych wywiadach i rozmowach publicznych, niektórzy członkowie reprezentacyjnej drużyny Polski, podają nieprawdziwe dane dotyczące nagród otrzymanych za zdobycie III miejsca na X Mistrzostwach Świata w 1974 roku. Faktyczny stan przedstawia się jak w załączeniu. Na przykład 12 osób otrzymało po 190 tysięcy złotych i 1500 dolarów USA. W roku 1974 średnie zarobki miesięczne wynosiły 3700 złotych. Za jednego dolara USA płacono na czarnym rynku 95 zł. Fiat 126 p kosztował 30 tysięcy. Fiat 125 – 80 tysięcy zł. Skoda – 95 tysięcy złotych”.

Na poufnej wtedy liście „premię dla zawodników” (przechowuję ją do dziś) rzeczywiście figurują podpisy 12 osób, które otrzymały najwyższe nagrody w złotówkach i dolarach USA. Są też na tej liście nazwiska i podpisy pozostałych członków ekipy, jest także wykazana wysokość nagród. Nie były to groszowe sumy. Razem 28 członkom zespołu czysto piłkarskiego wypłacono – w złotówkach 3 miliony 979 tysięcy, a 32.510 w dolarach. Tę prawdę też warto znać.

Odzew sympatyków piłkarstwa na wydarzenia Weltmeisterschaft '74, utrwalone w naszych wydawnictwach prasowych i książkowych był bardzo krytyczny. W sektorze C 02-034, gdzie czytelnicy do redakcji „Piłki Nożnej” nadsyła-

li swoje na ogół pozytywne uwagi i opinie o sportowych wartościach polskiego piłkarstwa, tak ocenili naszą bierność i opieszałość w sferze publikacji:

...Reklamujecie broszurkę o Murrhardt i zapowiadacie w bliżej nie określonym terminie następne pozycje. A przecież dobrze wiecie, ile już wydano pięknych książek i albumów o mistrzostwach świata. Czy u nas nie wiadomo, że taka impreza się odbędzie? Czy nie można było rok wcześniej zaplanować wydania poważnej pozycji o mistrzostwach świata bez względu na to, jaką rolę odegrają w nich Polacy? Sam fakt udziału elektryzuje społeczeństwo i należało to uwzględnić. Nie tłumaczcie więc nieudolności wydawnictwa „Sport i Turystyka”. Jeśli przed mistrzostwami można było wydać piękne plakaty, foldery i kolorowy tygodnik, to dlaczego po tak udanych mistrzostwach oddano pole do popisu walkowerem?

Podzieliliśmy pogląd Czytelników, ale wobec opieszałości (czy tylko?) „Sportu i Turystyki” byliśmy bezradni. Dwie skromne broszury wydano jednak w miarę szybko, ale jedną poważniejszą pozycję „**Gra o medal**” już znacznie później. Poprawa nastąpiła dopiero po mistrzostwach świata w Argentynie (1978), Hiszpanii (1982) i Meksyku (1986). Sprawę w swoje ręce przejęła wówczas „Młodzieżowa Agencja Wydawnicza”. Zwłaszcza tygodnik „Piłka Nożna” wykazał wtedy sporą inicjatywę i aktywność wydawniczą. Była to jednak kropla w morzu w porównaniu z tym, co na ten temat pisano w Europie i na świecie. A przecież aż prosiło się o odważne wskazanie dysproporcji między pracą z drużyną narodową, a opieką nad młodzieżą, sposobem wyławiania i szlifowania talentów. Tu wciąż byliśmy daleko w tyle za Europą. Nadal przeważał u nas konserwyzm i przypadkowość w selekcji. Dominowało tu uświęcone tradycją „dobre oko” trenera, a nie wyniki badań naukowych i inne racjonalne przesłanki.

W naszych warunkach nadal systematyczne szkolenie młodzieży w klubach jest zastępowane uprawianiem „dzikiego” piłkarstwa na błoniach, hasiokach, plantach, podwórkach. Cieszy się ono tam dużym powodzeniem, bo tego zorga-

nizowanego futbolu jest stanowczo za mało. W tej sytuacji turnieje drużyn niestowarzyszonych nie są celem samym w sobie, mają znacznie szerszy wymiar, są pożyteczne wychowawczo i szkoleniowo. Uczą chłopców samodzielności i organizacji, wyrównują potworne zaniedbania w szkołach. Są też naturalną formą wyławiania talentów, wstępną fazą selekcji. Najlepszych z „dzikich pól” można i trzeba kierować do klubów, a nie czekać aż przyjdą tam sami. Aż dziw bierze, że z tak prymitywnych form szkolenia wyrastają medaliści mistrzostw świata.

Czy dziś są jeszcze wśród nas prawdziwi „łowcy talentów”, tacy – jakimi niegdyś byli: Józef Słonecki i Józef Murgot na Śląsku, Adam Grabka w Krakowie, Konrad Kamiński w Bydgoszczy, Florian Krygier w Szczecinie, Jerzy Krzysztofowicz w Słupsku, Wacław Pegza w Łodzi, Stanisław Tymowicz w Płocku, Aleksander Zaranek w Warszawie i... Wiesław Motoczyński w skali całego kraju? Ci, którzy teraz tytułują się „odkrywcami” i kierują do klubów – ich zdaniem – najbardziej utalentowanych chłopców – nie zawsze zasługują na uznanie. Nie mają dostatecznej wiedzy teoretycznej, praktyki, wyobraźni. Często więc za ich „poręką” do klubów trafiają nie ci najbardziej uzdolnieni chłopcy, lecz średniacy, nawet beztalencia, a prawdziwe perełki piłkarskie giną.

To były nasze wewnętrzne sprawy, świat piłkarski niewiele o tym wiedział. W oczach większości krajów, zwłaszcza tych z odległych kontynentów, byliśmy wtedy w futbolu światową potęgą. Zewsząd napływały zaproszenia dla naszych drużyn klubowych i reprezentacyjnych, uaktywnili się różnej maści menedżerowie. Polskie piłkarstwo stało się dla nich atrakcyjnym i łatwym do sprzedania towarem. I tak już w styczniu 1975 roku Legia udała się w daleką podróż do Australii, natomiast Ruch Chorzów i Stal Mielec do Ameryki Południowej. Podróżowali też juniorzy. Nowo tworzoną reprezentację „Orlików” zaproszono (w styczniu!) do Las Palmas na turniej o Puchar Atlantyku. W lutym kadra narodowa seniorów rozegrała całą serię spotkań kontrolnych w Jugosławii, Grecji, RFN i Szwajcarii.

Uczestniczyłem w dwóch zimowych wyprawach: najpierw z juniorami z Warszawy via Madryt poleciałem na Wyspy Kanaryjskie, a potem z kadrą narodową zaliczyłem długachne tournée niemal przez pół Europy. Na lotnisku Barajas w Madrycie na przelot do Las Palmas trzeba było czekać pięć godzin. Nuda. Bąków jednak nie zbijaliśmy. Przez chwilę oglądaliśmy barwne komiksy i pisma pornograficzne (u nas były zakazane i na Okęciu zabierane), podziwialiśmy też atrakcyjne towary w Polsce nieosiągalne. Nikt nic jednak nie kupował, bo nie miał pieniędzy. Zebracze kieszonkowe. Ruszyliśmy więc w miasto. Część ekipy zwiedzała olbrzymi zamek byłych władców Hiszpanii, pozostali – za namową szefa ekipy, mgr inż. Zbigniewa Należytego – wybrali się do słynnego Museo del Prado.

To samo centrum Madrytu, z lotniska kawał drogi, chętnych jednak nie brakowało. Nasza młodzież w muzeum żywo zainteresowała się sztuką, zachodnią kulturą, malarstwem. Dzieła największych mistrzów pędzla, zwłaszcza Francisco de Goya z jego niezapomnianą Mayą i Marią Luizą w przepysznych strojach i aktach – nie przesadzam – do głębi pobudziły chłopięcą wyobraźnię. W samolocie na trasie Madryt – Las Palmas wlepiłem wzrok w dziennik „Hoja del Lunes”. Dwanaście stron sportu, głównie futbolu. Frajda niecodzienna, ale też nie małe oburzenie. Jakiś felietonista bezcześcił idola piłkarskiej młodzieży: „Cruyff i... objawy delirium”. Szokująca diagnoza. Boski Johann alkoholikiem?... Trudno w to uwierzyć. Autor przekonywał, że na całym Półwyspie Pirenejskim Cruyff jest piłkarzem najbardziej kłótliwym. Krytykuje grę kolegów, reakcje widowni, decyzje sędziów... Wszystkim ubliża. Złośliwa primadonna! Nie za dobrze piszą też o Johanie Neeskensie. Leni się i pozuje na artystę. Boże, przecież to asy reprezentacji Holandii! Czy będą kaprysić również w meczach z Polską o mistrzostwo Europy?